

# Ukraina musi być ważniejsza od wyborów prezydenckich



## Jędrzej Bielecki

Jeśli dziś Polska nie przyłączy się do realnych gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, za kilka lat może mieć rosyjskie wojska na swojej granicy.

**D**onald Tusk napisał we wtorek na platformie X: „Ani sondaże, ani wypowiedzi rozgorączkowanych komentatorów nie będą miały wpływu na moje decyzje w sprawach Ukrainy. Bezpieczeństwo Polski – wyłącznie tym będę się kierował”. Była to odpowiedź na mój komentarz w „Rzeczpospolitej”, w którym uznałem, że Polska przyczyniła się do porażki szczytu czołowych przywódców europejskich w Paryżu, odmawiając udziału w misji rozjemczej w Ukrainie.

Ja też kieruję się potrzebą bezpieczeństwa Polski. Uważam, że ani argumenty ad personam o rozgorączkowanych oponentach, ani fałszywe przecież zapewnienia, że nikt nie oczekuje od naszego kraju udziału w operacji w Ukrainie, nie rozwiążą tej kwestii. Polskie społeczeństwo zasługuje na poważną debatę merytoryczną o decyzjach, które mogą przesądzić o układzie geopolitycznym w Europie na pokolenia.

Moment na to nie jest dobry. Wchodzimy na ostatnią prostą kampanii wyborczej i niemal wszystko jest odczytywane przez partyjne okulary. Ale ten timing narzucił Donald Trump. Istnieje wielkie ryzyko, że Amerykanie rozstrzygną na dniach o losie Ukrainy bez udziału Europejczyków i samych Ukraińców. A udzielone przez nich gwarancje bezpieczeństwa będą warte tyle, ile te przyznane przez tę samą Amerykę w memorandum budapeszteńskim w 1994 r. Czyli nic. Wtedy wojska Putina mogą się znaleźć za kilka lat u granic Polski. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego dla naszego bezpieczeństwa.

To wyzwanie dobrze rozumie Emmanuel Macron. Chce zaproponować Trumpowi konkretny wkład Europy w bezpieczeństwo Ukrainy i w ten sposób przekonać go, że Europejczykom należy się miejsce za stołem negocjacji pokojowych. Dlatego odmowa Donalda Tuska udziału w tej operacji dziś nie jest tym samym, czym była jeszcze

miesiąc temu. Po prostu sytuacja geopolityczna jest zupełnie inna.

Z tego też powodu argumenty wyborcze muszą zejść na drugi plan. Przynajmniej zresztą: gdy w ostatnich latach na pacyfistyczne nastroje w niemieckim społeczeństwie powoływał się Olaf Scholz, uzasadniając zwłokę we wsparciu przez Niemcy Ukrainy, niemal wszyscy w Polsce bez pardonowo go krytykowali. Uważali, że partyjny interes polityczny aktualnego niemieckiego rządu nie usprawiedliwia wahań wobec Putina. Zastosujmy więc tę samą miarę i dziś wobec Polski.

Ale przede wszystkim chodzi o konsekwencję w działaniu. Już od blisko czterech dekad niepodległej Rzeczypospolitej wszystkie rządy pozostawały wierne myśli Jerzego Giedroycia: nie będzie bezpiecznej Polski bez suwerennej Ukrainy. Stąd wynikał plan partnerstwa wschodniego, wciągnięcia Kijowa do procesu akcesyjnego do Unii, wsparcie wojskowe na wielką skalę od początku rosyjskiej inwazji czy propozycja Jarosława Kaczyńskiego wysłania do Ukrainy wojsk natowskich.

Dziś nadszedł moment prawdy w tej kluczowej sprawie. Pokaże, ile nasz kraj naprawdę jest gotów poświęcić dla przetrwania suwerennego ukraińskiego państwa. Ponieważ przyjęcie Ukrainy do NATO jest w tej chwili nierealne, jedyną realną drogą do tego jest międzynarodowa misja rozjemcza, która zapewni, że obecna linia demarkacyjna będzie respektowana.

Nie chodzi przy tym o to, aby wysyłać polskich żołnierzy na front. Na tym etapie wystarczy ogólna deklaracja otwarcia na ideę Macrona. Tak zrobił choćby Keir Starmer, jednocześnie uzależniając wysłanie do Ukrainy brytyjskich żołnierzy od dołączenia do takiej operacji Amerykanów. W przyszłym tygodniu jedzie on do Białego Domu, aby przekonać Trumpa, że Europa jest gotowa zaangażować się na serio w obronę Ukrainy. Musi mu się to udać teraz, bo za chwilę będzie za późno.